

Twórca bestsellerowych powieści:
Enigma, Autor widmo oraz cyklu Trylogia rzymska

ROBERT HARRIS KONKLAWĘ



THRILLER

1

Sede vacante

Krótko przed drugą w nocy kardynał Lomeli opuścił swój apartament w Pałacu Świętego Oficjum i zmierzał przez pogrążone w mroku krużganki Watykanu w stronę Domu Świętej Marty, gdzie znajdowały się pokoje papieża.

„O, Panie – modlił się – on ma jeszcze tyle do zrobienia, gdy tymczasem cała moja użyteczna praca w Twej służbie dobiega końca. On jest kochany, ja jestem zapomniany. Oszczędź go, Panie. Oszczędź go i zabierz raczej mnie”.

Mozolnie wspinał się po bruku ku Piazza Santa Marta. Powietrze Rzymu było wilgotne i ciepłe, choć czuł już pierwsze zapowiedzi jesiennych chłódów. Siąpił lekki deszcz. Rozmawiając z nim przez telefon, prefekt Domu Papieskiego wydawał się taki spanikowany, że Lomeli spodziewał się ujrzeć pandemonium. W rzeczywistości plac był wyjątkowo pusty i spokojny, jeśli nie liczyć zaparkowanego w dyskretnej odległości samotnego ambulansu, wyraźnie widocznego na tle podświetlonej południowej ściany Bazyliki Świętego Piotra. W

jego wnętrzu paliło się światło, wycieraczki chodziły w tę i z powrotem i widział twarze kierowcy i sanitariusza. Kierowca dzwonił właśnie z komórki i Lomeli uświadomił sobie z przerażeniem, że przyjechali nie po to, by zawieźć chorego do szpitala, lecz żeby zabrać zwłoki.

Stojący przy oszklonych drzwiach Domu Świętej Marty gwardzista szwajcarski przyłożył dłoń w białej rękawiczce do hełmu z czerwonymi piórami, oddając mu salut.

– Wasza Eminencjo.

– Mógłbyś, proszę, sprawdzić, czy ten człowiek nie dzwoni do mediów? – powiedział Lomeli, wskazując ambulans.

Surowe, aseptyczne wnętrze budynku przywodziło na myśl prywatną klinikę. W wyłożonym białym marmurem holu stało kilkunastu zdeorientowanych księży, trzech w szlafrokach, zupełnie jakby obudził ich alarm przeciwpożarowy i nie wiedzieli, jak się zachować. Lomeli zawahał się w progu; poczuł, że ściska coś w lewej ręce, i zorientował się, że to jego czerwona piuska. Nie pamiętał, żeby ją zabierał. Rozwinął ją i włożył na głowę. Poczuł, że ma wilgotne włosy. Gdy szedł do windy, jakiś biskup, Afrykanin, próbował go zagadnąć, ale Lomeli tylko skinął mu głową, nie zwalniając kroku.

Wieki trwało, nim pojawiła się winda. Powinien skorzystać ze schodów, ale był zbyt zdyszany. Czuł, jak inni wpatrują się w jego plecy. Powinien coś powiedzieć. Winda w końcu przyjechała, jej drzwi się otworzyły. Lomeli odwrócił się i podniósł rękę w geście błogosławieństwa.

– Módlcie się – powiedział.

Wcisnął guzik drugiego piętra; drzwi zamknęły się i kabina ruszyła w górę.

„Jeśli Twoją wolą jest powołać go do siebie, a mnie zostawić na ziemi, daj mi siłę, bym stał się opoką dla innych”.

W żółtawym świetle windy jego wychudła twarz wydawała się szara i plamista. Czekał na jakiś znak, na przypływ siły. Winda z szarpnięciem stanęła, ale jego żołądek nadal przemieszczał się w górę i musiał złapać się metalowej poręczy, żeby nie stracić równowagi. Pamiętał, jak jechał tą windą z Ojcem Świętym na samym początku jego papiestwa i weszli do niej dwaj wiekowi prałaci. Stając twarzą w twarz z przedstawicielem Chrystusa na ziemi, padli natychmiast na kolana, na co papież roześmiał się i powiedział: „Nie przejmujcie się, wstańcie, jestem zwykłym starym grzesznikiem, nie lepszym od was...”.

Kardynał uniósł podbródek. Przybrał swoją publiczną maskę. Drzwi się otworzyły i ciemne garnitury rozstały się, by go przepuścić. Usłyszał, jak jeden z agentów szepcze do rękawa:

– Jest dziekan.

Na ukos od windy, przy drzwiach do papieskiego apartamentu, trzy zakonnice ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia Świętego Wincentego à Paulo trzymały się za ręce i płakały. Prefekt Domu Papieskiego, arcybiskup Woźniak, wyszedł mu na spotkanie. Jego wodniste oczy za stalowymi oprawkami okularów były spuchnięte.

– Eminencjo... – powiedział bezradnie, unosząc ręce.

Lomeli ujął w dłonie policzki arcybiskupa i łagodnie je uściśnął. Czuł pod palcami zarost młodszego mężczyzny.

– Janusz, on był taki szczęśliwy w twojej obecności.

Po chwili kolejny ochroniarz – a może przedsiębiorca pogrzebowy: przedstawiciele obu profesji prawie nie różnili się

ubiorem – w każdym razie kolejny mężczyzna w czerni otworzył drzwi apartamentu.

Mały salon i jeszcze mniejsza sypialnia były wypełnione ludźmi. Lomeli sporządził później listę i wyliczył, że poza obstawą znajdowało się tam kilkanaście osób: dwóch doktorów; dwóch prywatnych sekretarzy; Mistrz Papieskich Ceremonii Liturgicznych, arcybiskup Mandorff; co najmniej czterech księży z Kamery Apostolskiej; Woźniak i oczywiście czterej najwyżsi rangą kardynałowie Kościoła katolickiego: sekretarz stanu Aldo Bellini; kamerling – albo komornik – Świętego Kościoła Rzymskiego, Joseph Tremblay; kardynał penitencjarz albo Wielki Penitencjariusz, Joshua Adeyemi; oraz on, dziekan Kolegium Kardynalskiego. W swojej próżności spodziewał się, że wezwą go jako pierwszego; w rzeczywistości przekonał się, że jest ostatni.

Wszedł w ślad za Woźniakiem do sypialni. Po raz pierwszy znalazł się w jej wnętrzu. Duże podwójne drzwi wcześniej zawsze pozostawały zamknięte. Renesansowe papieskie łóżce z wiszącym nad nim krucyfiksem zwrócone było ku salonowi. Zajmowało prawie cały pokój – kwadratowe, z polerowanego dębu, o wiele za duże na to pomieszczenie. Ono jedno zawierało w sobie jakiś element dostojeństwa. Bellini i Tremblay klęczeli przy nim z pochylonymi głowami. Lomeli musiał przestąpić przez ich nogi, żeby podejść do wezgłowia. Lekko podparty papież miał ciało okryte białą narzutą, skrzyżowane na piersi ręce spoczywały na jego prostym żelaznym pektoralu.

Lomeli nie zwykł oglądać Ojca Świętego bez okularów. Leżały na szafce nocnej, obok sfatygowanego podróżnego budzika. Oprawki pozostawiły czerwone ślady po obu stronach

nosa. Twarze zmarłych, wiedział o tym z doświadczenia, często wydają się obwisłe i otępiałe. Jednak ta była czujna, prawie rozbawiona, jakby przerwano mu w pół zdania. Kiedy pochylił się, by ucałować czoło, zauważył w lewym kącie ust niewyraźną smugę pasty do zębów. W nozdrza wpadł mu zapach mięty i jakiegoś kwiatowego szamponu.

– Dlaczego wezwał cię, kiedy tak wiele jeszcze pragnąłeś dokonać? – szepnął.

– *Subvenite, Sancti Dei...*

Adeyemi rozpoczął liturgię. Lomeli zdał sobie sprawę, że czekali z tym na niego. Ostrożnie ukląkł na wypastowanym parkiecie, oparł złączone w modlitwie dłonie o narzutę i schował w nich twarz.

– *...occurite, Angeli Domini...*

„Przybądźcie mu z pomocą, święci Boży, spieszcie mu na spotkanie, Anieli Pańscy...”.

Basso profondo nigeryjskiego kardynała odbijało się echem w małym pomieszczeniu.

– *...Suscipientes animam eius. Offerentes eam in conspectu Altissimi...*

„Przyjmijcie jego duszę i zanieście ją przed oblicze Najwyższego...”.

Słowa brzęczały w uszach Lomelego, nic nie znacząc. Zdarzało się to coraz częściej. „Wołam do ciebie, Boże, ale Ty nie odpowiadasz”. W ciągu minionego roku dopadła go jakaś umysłowa bezsenność, rodzaj hałaśliwej ingerencji, zakłócającej komunię z Duchem Świętym, której wcześniej dostępował całkiem naturalnie. I podobnie jak dzieje się ze snem, im usilniej ktoś pragnie poważnej modlitwy, tym bardziej ulotna się ona

staje. Zwierzył się ze swojego kryzysu papieżowi podczas ich ostatniego spotkania – poprosił o zgodę na opuszczenie Rzymu: chciał zrezygnować z obowiązków dziekana i wstąpić do jakiegoś zakonu. Miał siedemdziesiąt pięć lat, był w wieku emerytalnym. Ale Ojciec Święty potraktował go zaskakująco surowo. „Niektórych wybrano, by byli pasterzami, inni są potrzebni do prowadzenia firmy. Nie zostałeś powołany do roli opiekuna. Nie jesteś pasterzem. Jesteś zarządcą. Sądzisz, że mnie jest łatwo? Jesteś mi potrzebny. Nie przejmuj się. Bóg wróci do ciebie. Zawsze wraca”. Lomeli poczuł się urażony – zarządcą, czyżby tak właśnie mnie postrzegał? – i pożegnali się raczej chłodno. Wtedy widział go po raz ostatni.

– ...*Requiem aeternam dona ei, Domine: et lux perpetua luceat ei...*

„Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci...”.

Kiedy liturgia została odprawiona, czterej zebrani przy łożu śmierci kardynałowie trwali nadal w cichej modlitwie. Po kilku minutach Lomeli odwrócił lekko głowę i otworzył oczy. W salonie za nimi wszyscy klęczeli z pochylonymi głowami. Schował z powrotem twarz w dłoń.

Martwiło go, że ich długa znajomość skończyła się tak przykrym akcentem. Próbował przypomnieć sobie, kiedy doszło do tej rozmowy. Dwa tygodnie temu? Nie, przed miesiącem – dokładnie rzecz biorąc, siedemnastego września, po mszy upamiętniającej stygmaty świętego Franciszka – nigdy wcześniej tak długo nie widywał się z nim na prywatnej audiencji. Być może Ojciec Święty wyczuwał już, że śmierć jest blisko i jego misja zostanie przerwana; może to tłumaczyło jego nietypową

irytację?

W pokoju panowała kompletna cisza. Zastanawiał się, kto pierwszy przerwie medytację. Domyślał się, że to będzie Tremblay. Frankofoński Kanadyjczyk zawsze gdzieś się spieszył – typowy północny Amerykanin. I rzeczywiście, kilka chwil później Tremblay westchnął – był to długi, teatralny, prawie ekstatyczny wydech.

– Jest teraz z Bogiem – powiedział i rozprostował ramiona. Lomeli myślał, że chce im udzielić błogosławieństwa, ale był to sygnał dla dwóch asystentów Tremblaya z Kamery Apostolskiej, którzy weszli do sypialni i pomogli mu wstać. Jeden z nich trzymał srebrne puzdro. – Arcybiskupie Woźniak – odezwał się Tremblay, kiedy wszyscy zaczęli się podnosić. – Czy możesz mi łaskawie dać pierścień Ojca Świętego?

Lomeli wstał z kolan, w których coś chrupnęło po siedemdziesięciu latach bezustannego klęknięcia, i przysunął się do ściany, by przepuścić prefekta Domu Papieskiego. Pierścień nie zszedł łatwo. Biedny Woźniak, pocąc się z przejęcia, musiał obrócić go kilka razy na kłykcium. W końcu jednak się zsunął i arcybiskup podał go na wyciągniętej dłoni Tremblayowi, który wyjął ze srebrnego pudra nożyce – takiego narzędzia można by używać do ścinania zwiędłych główek róż, pomyślał Lomeli – i wsadził pieczęć pierścienia między ostrza. Krzywiąc się z wysiłku, ścisnął mocno nożyce, rozległ się trzask i metalowe kółko przedstawiające świętego Piotra zarzucającego sieć rybacką zostało odcięte.

– *Sede vacante* – oświadczył Tremblay. – Tron Stolicy Piotrowej jest pusty.



Lomeli przez kilka minut patrzył w niemym pożegnaniu na łóżko, po czym pomógł Tremblayowi przykryć cienkim białym woalem twarz papieża. Czuwający przy łożu podzielili się na szepczące grupki.

Cofnął się do salonu. Zastanawiał się, jak papież znosił to rok po roku – nie tylko życie w otoczeniu uzbrojonych strażników, ale również to miejsce. Pięćdziesiąt anonimowych metrów kwadratowych umeblowanych tak, by zaspokoić gusta przedstawiciela handlowego średniego szczebla. Na podłodze parkiet, by łatwiej było posprzątać. Standardowy stół, biurko, kanapa i dwa fotele obite jakąś niebieską, łatwą do prania tkaniną. Nawet drewniany klęcznik nie różnił się od setek innych w tym budynku. Ojciec Święty zamieszkał tutaj jako kardynał przed obradami konklawe, które wybrało go na papieża, i nigdy się stąd nie wyprowadził: wystarczyło jedno spojrzenie na przysługujący mu w Pałacu Apostolskim luksusowy apartament z biblioteką i prywatną kaplicą, by wziął nogi za pas. Jego wojna z watykańską starą gwardią zaczęła się właśnie w tamtej chwili, pierwszego dnia. Kiedy kilku najwyższych członków Kurii Rzymskiej próbowało podważyć jego decyzję jako nieliczącą z godnością papieża, zacytował im, jakby byli zwykłymi uczniakami, słowa, które Chrystus skierował do swoich uczniów: *Nie bierzcie nic na drogę: ani laski, ani torby podróźnej, ani chleba, ani pieniędzy; nie miejcie też po dwie suknie!**. Od tego momentu, będąc tylko ludźmi, czuli na plecach jego karcące spojrzenie za każdym razem, gdy wracali

* Ewangelia św. Łukasza 9, 3. Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Tysiąclecia.

do swoich wytwornych oficjalnych apartamentów; i będąc tylko ludźmi, mieli mu to za złe.

Sekretarz stanu, Bellini, stał przy biurku odwrócony plecami do innych. Jego urzędowanie skończyło się wraz ze złamaniem pieczęci w Pierścieniu Rybaka; wysoki, chudy, ascetyczny, z postury przypominający lombardzką topolę, wyglądał teraz, jakby coś pękło w nim razem z pieczęcią.

– Drogi Aldo, jest mi tak bardzo przykro – powiedział Lomeli.

Zobaczył, że Bellini przypatruje się zestawowi podróżnych szachów, który Ojciec Święty nosił zwykle w swojej teczce. Wodził długim bladym palcem po niewielkich czerwonych i białych plastikowych figurach. Stały tłumnie na środku szachownicy, zaangażowane w jakieś skomplikowane starcie, które nigdy już nie miało się rozstrzygnąć.

– Myślisz, że ktoś będzie miał coś przeciwko, jeśli zabiorę to na pamiątkę? – zapytał półprzymkniętymi Bellini.

– Na pewno nie.

– Graliśmy dość często pod koniec dnia. Mówił, że pomaga mu się to odprężyć.

– Kto wygrywał?

– On. Zawsze.

– Weź je – ponaglił go Lomeli. – Kochał cię bardziej niż kogokolwiek. Chciałby, żebyś je miał. Weź je.

Bellini rozejrzał się.

– Chyba powinno się zaczekać i poprosić o pozwolenie. Ale wygląda na to, że nasz gorliwy kamerling lada chwila zapieczętuje apartament.

Wskazał głową Tremblaya i jego asystentów, którzy stali

przy stoliku do kawy, rozkładając materiały potrzebne do zapieczętowania drzwi – czerwone wstążki, воск i taśmę.

Nagle w oczach Belliniego pojawiły się łzy. Był znany ze swojej oschłości – powściągliwy, bezkrwisty intelektualista. Lomeli nigdy wcześniej nie widział u niego emocji. Wstrząsnęło nim to. Położył dłoń na ramieniu sekretarza stanu.

- Wiesz, co się stało? – zapytał ze współczuciem.
- Mówią, że to atak serca.
- Wydawało się, że ma serce jak dzwon.
- Szczerze mówiąc, niekoniecznie. Były pewne sygnały ostrzegawcze.

Lomeli spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Nic o tym nie słyszałem.
- Nie chciał, by ktokolwiek wiedział. Mówił, że kiedy to się wyda, zaczną rozpuszczać plotki, że ma zamiar odejść.

Zaczną. Bellini nie musiał mówić, kim są ci oni. Miał na myśli Kurię. Po raz drugi tej nocy Lomeli poczuł się w niezrozumiały sposób pominięty. Czy dlatego nie wiedział o trwających od dawna problemach zdrowotnych? Ponieważ Ojciec Święty uważał go nie tylko za zarządcę, ale za jednego z nich?

- Uważam, że powinniśmy bardzo ostrożnie ujawniać środkom masowego przekazu informacje o jego stanie zdrowia – odezwał się. – Wiesz lepiej ode mnie, jakie są media. Będą chcieli poznać całą historię jego sercowych dolegliwości i dowiedzieć się, co w tej sprawie uczyniliśmy. I jeśli okaże się, że było to ukrywane i nic nie zrobiliśmy, będą dociekać dlaczego. – Teraz, kiedy mijał pierwszy szok, Lomeli zaczął zadawać sobie cały szereg pilnych pytań, na które świat będzie

chciał uzyskać odpowiedź. Na które chciał uzyskać odpowiedź on sam. – Czy kiedy Ojciec Święty umierał, ktoś przy nim był? Czy otrzymał rozgrzeszenie?

Bellini pokręcił głową.

– Nie, obawiam się, że już nie żył, kiedy go znaleziono.

– Kto go znalazł? Kiedy? – Lomeli dał znak arcybiskupowi Woźniakowi, żeby do nich podszedł. – Wiem, że to dla ciebie trudna chwila, Janusz, ale będziemy musieli przygotować precyzyjne oświadczenie. Kto znalazł ciało Ojca Świętego?

– Ja, Wasza Eminencjo.

– Dzięki Bogu choć za to. – Ze wszystkich członków Domu Papieskiego Woźniak był z papieżem w najbliższych stosunkach. To dobrze, że on pierwszy pojawił się na miejscu. Poza tym, z czysto propagandowego punktu widzenia, lepiej, że to on, a nie ochroniarz; zdecydowanie lepiej, że to on, a nie zakonnica. – Co wtedy zrobiłeś?

– Wezwałem lekarza Ojca Świętego.

– Jak szybko przybył?

– Natychmiast, eminencjo. Zawsze sypia w sąsiednim pokoju.

– Ale nic nie można już było zrobić?

– Nic. Mieliliśmy cały sprzęt potrzebny do resuscytacji. Ale było za późno.

Lomeli przez chwilę się zastanawiał.

– Znalazłeś go w łóżku?

– Tak. Wyglądał całkiem spokojnie, prawie jak teraz. Myślałem, że śpi.

– O której to było godzinie?

– Około wpół do dwunastej, eminencjo.

– Wpół do dwunastej? Czyli ponad dwie i pół godziny temu. Zdumienie Lomelego musiało odbić się na jego twarzy, bo Woźniak szybko zaczął się tłumaczyć:

– Zadzwoń bym szybciej do Waszej Eminencji, ale wszystkim zajął się kardynał Tremblay.

Tremblay odwrócił głowę na dźwięk swego nazwiska. Choć był środek nocy, wyglądał świeżo i elegancko; jego gęste siwe włosy były starannie uczesane, sylwetka szczupła i sprężysta. Wyglądał jak emerytowany sportowiec, któremu udało się zostać komentatorem telewizyjnym; Lomeli przypomniał sobie, że Kanadyjczyk w młodości grał chyba w hokeja.

– Bardzo mi przykro, Jacopo, jeśli uraziło cię to, że zostałeś poinformowany tak późno – odezwał się Tremblay, starannie wymawiając włoskie słowa. – Wiem, że Ojciec Święty nie miał bliższych kolegów od ciebie i Alda... ale jako kamerling uznałem, że moim pierwszym obowiązkiem jest zachowanie integralności Kościoła. Poprosiłem Janusza, by nie zawiadamiał cię od razu. Chciałem, żebyśmy mieli chwilę spokoju i postarali się ustalić fakty. – Tremblay złożył ręce jak do modlitwy.

Ten człowiek był niemożliwy.

– Mój drogi Joe – odparł Lomeli – troszczę się jedynie o duszę Ojca Świętego i o dobro Kościoła. Czy poinformowano mnie o północy, czy o drugiej nad ranem, nie ma dla mnie większego znaczenia. Jestem przekonany, że postąpiłeś najlepiej, jak było można.

– Chodzi o to, że kiedy papież umiera niespodziewanie, każdy błąd popełniony w pierwszym momencie szoku i zamętu może później doprowadzić do najróżniejszego rodzaju złośliwych plotek. Przypomnij sobie tylko tragedię papieża Jana

Pawła Pierwszego. Od czterdziestu lat staramy się przekonać świat, że nie został zamordowany... a wszystko dlatego, że nikt nie chciał przyznać, iż jego zwłoki odkryła zakonnica. Tym razem w oficjalnym przekazie nie może być żadnych rozbieżności.

Z kieszeni sutanny wyciągnął złożoną kartkę i podał ją Lomelemu. Była ciepła. (Prosto z drukarki, pomyślał Lomeli). Elegancko wydrukowany dokument miał angielski nagłówek: „Chronologia”. Lomeli przesunął palcem wzdłuż linijek. O godzinie 19.30 Ojciec Święty zjadł wraz z Woźniakiem kolację w odgradzonej dla niego części jadalni w Domu Świętej Marty. O 20.30 udał się do swojego apartamentu i medytował nad fragmentem dzieła Tomasza à Kempis *O naśladowaniu Chrystusa* (rozdział 8, „O unikaniu poufałości”). O 21.30 poszedł do łóżka. O 23.30 arcybiskup Woźniak zajrzał do niego, by sprawdzić, jak się czuje, i nie stwierdził żadnych oznak życia. O 23.34 doktor Giulio Baldinotti, oddelegowany z watykańskiego szpitala San Raffaele w Mediolanie, rozpoczął próbę reanimacji. Zastosowano połączenie masażu serca i defibrylacji, bez widomego efektu. Zgon Ojca Świętego stwierdzono o 24.12.

Kardynał Adeyemi stanął tuż za plecami Lomelego i zaczął czytać dokument nad jego ramieniem. Nigeryjczyk zawsze pachniał mocno wodą kolońską. Lomeli czuł na karku jego ciepły oddech. Nie mógł znieść jego fizycznej bliskości. Oddał mu kartkę i odwrócił się, ale w tej samej chwili Tremblay wcisnął mu w dłoń kolejne papiery.

– A to co znowu?

– Wyniki ostatnich badań Ojca Świętego. Kazałem je

przynieść. To angiogram z zeszłego miesiąca. Widać tutaj... – Tremblay podniósł kliszę do lampy – ...ślady niedrożności...

Czarno-białe zdjęcie było ziarniste, włókniste – złowrogie. Lomeli mimowolnie się cofnął. O czym to, na miłość boską, ma świadczyć? Papież dawno przekroczył osiemdziesiątkę. W jego zgonie nie było nic podejrzanego. Jak długo miał żyć? Powinni myśleć teraz o jego duszy, nie o tętnicach.

– Opublikuj te dane, jeśli musisz, ale nie to zdjęcie – odezwał się stanowczym tonem. – Jest zbyt trywialne. Poniż go.

– Zgadzam się – powiedział Bellini.

– Przypuszczam, że za chwilę powiesz nam, że należałoby przeprowadzić sekcję zwłok? – dodał Lomeli.

– Jeśli jej nie przeprowadzimy, na pewno zaczną się plotki.

– To prawda – przyznał Bellini. – Kiedyś wyjaśnienia wszystkich tajemnic szukano w Bogu. Teraz zdetronizowali Go głosiciele teorii spiskowych. To oni są współczesnymi heretykami.

Adeyemi skończył czytać chronologię, zdjął okulary w złotych oprawkach i zaczął ssać jeden z zauszników.

– Co Ojciec Święty robił przed dziewiętnastą trzydzieści? – zapytał.

– Odprawiał nieszpory, eminencjo. Tutaj, w Domu Świętej Marty – odrzekł Woźniak.

– W takim razie powinniśmy o tym wspomnieć. Po raz ostatni celebrował liturgię i oznacza to, że był w stanie łaski. Zwłaszcza że nie było możliwości podania mu wiatyku.

– Słuszna uwaga – powiedział Tremblay. – Dołączę tę informację.

– A cofając się jeszcze bardziej w czasie... do chwili przed

nieszporami... – Adeyemi nie dawał za wygraną. – Co wtedy robił?

– Z tego, co mi wiadomo, odbywał rutynowe spotkania – odparł ostrożnie Tremblay. – Nie znam wszystkich faktów. Koncentrowałem się na godzinach bezpośrednio poprzedzających jego zgon.

– Kto ostatni miał z nim umówione spotkanie?

– Właściwie całkiem możliwe, że to byłem ja – przyznał Tremblay. – Widziałem się z nim o czwartej. Prawda, Janusz? Czy byłem ostatni?

– Tak, eminencjo.

– I jak się zachowywał, kiedy z nim rozmawiałeś? Można było odnieść wrażenie, że jest chory?

– Nie, nic takiego nie zauważyłem.

– A później, kiedy jadłeś z nim kolację, arcybiskupie?

Woźniak spojrział na Tremblaya, jakby pytał go o pozwolenie, nim się odezwie.

– Był zmęczony – oznajmił. – Bardzo, bardzo zmęczony. Nie miał apetytu. Jego głos brzmiał ochryple. Powinienem był... – Woźniak urwał.

– Nie masz sobie nic do zarzucenia. – Adeyemi oddał dokument Tremblayowi i włożył z powrotem okulary. W jego gestach była wystudiowana teatralność. Zawsze miał świadomość swojego dostojęstwa. Prawdziwy książę Kościoła. – Odnotuj tutaj wszystkie spotkania, jakie odbył tego dnia – powiedział. – To pokaże, jak niestrudzenie pracował, do samego końca. I będzie świadectwem, że nikt nie miał powodu podejrzewać, że był chory.

– Z drugiej strony – zaproponował Tremblay – czy ujawniając

jego pełny rozkład dnia, nie narazimy się na zarzut, że wkładaliśmy zbyt ciężkie brzemie na chorego człowieka?

– Papiestwo jest ciężkim brzemieniem. Ludziom trzeba o tym przypominać.

Tremblay zmarszczył brwi i nic nie powiedział. Bellini wbił wzrok w podłogę. W pokoju dało się odczuć niewielkie, ale wyraźne napięcie i Lomeli dopiero po dłuższej chwili domyślił się, jaki był jego powód. Przypominanie ludziom o tym, jak ciężkim brzemieniem jest papiestwo, implikowało w sposób oczywisty, że nadaje się do niego ktoś młodszy – a Adeyemi, który niedawno skończył sześćdziesiąt lat, był prawie o dziesięć lat młodszy od pozostałych dwóch.

– Czy mógłbym zaproponować – odezwał się w końcu Lomeli – żebyśmy skorygowali dokument, wspominając o udziale Ojca Świętego w niesporach, ale poza tym nic w nim nie zmieniali? A na wszelki wypadek przygotowali drugi dokument wyliczający spotkania, jakie Ojciec Święty odbył w ciągu całego dnia, i trzymali go w rezerwie, gdyby okazał się konieczny?

Adeyemi i Tremblay wymienili krótkie spojrzenia i pokiwali głowami.

– Dziękujmy Bogu za naszego dziekana – rzucił oschle Bellini. – Widzę, że w nadchodzących dniach możemy potrzebować jego dyplomatycznych zdolności.



Lomeli dostrzegł później w tej wymianie zdań moment, w którym zaczęła się walka o sukcesję.

Wiadomo było, że wszyscy trzej kardynałowie mają swoje

frakcje w kolegium elektorów: Bellini, były rektor Uniwersytetu Gregoriańskiego i były arcybiskup Mediolanu, będący, odkąd Lomeli pamiętał, wielką intelektualną nadzieją liberałów; Tremblay, poza funkcją kamerlinga pełniący urząd prefekta Kongregacji Ewangelizacji Narodów, co czyniło go w pewnym sensie kandydatem Trzeciego Świata, i mający jeszcze tę zaletę, że wyglądał na Amerykanina, w rzeczywistości wcale nim nie będąc; oraz Adeyemi, który niczym boską iskrę niósł w sobie rewolucyjną możliwość, niezmiennie fascynującą media, że pewnego dnia może stać się „pierwszym czarnym papieżem”.

I powoli, w miarę jak obserwował rozpoczynające się w Domu Świętej Marty manewry, Lomeli zdał sobie sprawę, że to na nim, jako na dziekanie Kolegium Kardynalskiego, spocznie obowiązek zorganizowania wyborów. Nigdy nie spodziewał się, że przypadnie mu to zadanie. Kilka lat wcześniej zdiagnozowano u niego raka prostaty i był przekonany, że umrze wcześniej od papieża. Zawsze uważał, że pełni swój urząd tymczasowo. Próbował złożyć rezygnację. Teraz jednak wszystko wskazywało na to, że stanie się odpowiedzialny za organizację konklawe, które odbędzie się w wyjątkowo trudnych okolicznościach.

Przymknął oczy. „Jeśli jest Twoją wolą, Panie, bym podjął się tego zadania, modlę się, byś dał mi siłę i bym uczynił to w sposób, który wzmocni Matkę naszą, Kościół...”

Po pierwsze i najważniejsze – powinien być bezstronny.

– Czy ktoś zadzwonił do kardynała Tedesca? – zapytał, otwierając oczy.

– Nie – odparł Tremblay. – Dlaczego akurat do Tedesca? Uważasz, że powinniśmy?

– Cóż, zważywszy na jego pozycję w Kościele, byłoby

uprzejmie...

– Uprzejmie?! – zawołał Bellini. – Co takiego zrobił, by zasługiwać na uprzejmość? Jeśli o kimkolwiek można powiedzieć, że zabił Ojca Świętego, to właśnie o nim!

Lomeli rozumiał jego gniew. Ze wszystkich krytyków nieżyjącego papieża właśnie Tedesco był najbardziej nieprzejednany. Jego ataki na Ojca Świętego i Belliniego posuwały się zdaniem niektórych do granicy schizmy. Mówiło się nawet o ekskomunie. Cieszył się jednak dużym poparciem wśród tradycjonalistów i to czyniło go ważnym kandydatem do objęcia sukcesji.

– Tak czy inaczej, powinienem do niego zadzwonić – powiedział Lomeli. – Będzie lepiej, jeśli usłyszysz o tym od nas, a nie od jakiegoś reportera. Bóg jeden wie, co mógłby palnąć, zaskoczony.

Uniósł słuchawkę z widełek i wcisnął zero. Telefonistka zapytała go drżącym z emocji głosem, czym może służyć.

– Połącz mnie, proszę, z Pałacem Patriarchy w Wenecji... bezpośrednio z kardynałem Tedeskiem.

Zakładał, że kardynał nie odbierze – była w końcu trzecia nad ranem – ale zrobił to, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Tedesco – odezwał się szorstko.

Inni kardynałowie wymieniali półgłosem uwagi na temat daty pogrzebu. Lomeli uniósł ręce, prosząc o ciszę, i odwrócił się do nich plecami, by skoncentrować się na rozmowie.

– Goffredo? Tu Lomeli. Mam, niestety, straszną wiadomość. Właśnie umarł Ojciec Święty. – Zapadła długa cisza. Lomeli usłyszał w tle jakiś hałas. Kroki? Trzaśnięcie drzwi? – Patriarcho? Słyszałeś, co powiedziałem?